

Wojtkowi Młynarskiemu na pożegnanie

- No i z czego się pani tak śmieje? - zapytał patrząc gdzieś w dal ponad moją głowę - Uśmiecham się do pana, żeby nam dobrze poszło - powiedziałam i obejrzałam się szybko za siebie, co musiało mieć efekt komiczny, bo z kolei on się roześmiał i... poszło nam dobrze!

Byliśmy w mini-garderobie teatrzyku Kornhaus w szwajcarskim miasteczku Baden, gdzie miał mieć występ przed polską publicznością, liczną, jak na szwajcarską Polonię, niewielką, jak na niego, przyzwyczajonego do wielkich scen.

Tak, tak, w Szwajcarii wszystko oprócz Alp jest malutkie i on wydawał się o wiele za duży jak na niewielkie pomieszczonko niegdysiejszego spichlerza przekwalifikowane na przebieralnię dla artystów.

Nie, nie bałam się spotkania "mała ja i Wielki On", choć skądinąd wiedziałam, że jest cięty na dziennikarzy i potrafi niemiło usadzić. Po prostu nie zakładałam, że nie pójdzie nam dobrze. Za bardzo byłam go ciekawa i za bardzo go podziwiałam. Zresztą Basia mnie uprzedziła.

Odtąd jeszcze kilka razy miałam możliwość spotkać się z nim na wywiadowanie i fotografowanie i każde to spotkanie było nadzwyczajne, mądre a zabawne, choć miał opinię rozmówcy trudnego.

Któregoś razu odwiedziłam go w jego warszawskim mieszkaniu, gdzie od niedawna i, jak się miało okazać, na niedługo, mieszkał razem ze swoją drugą żoną. Wypełnił sobą całe drzwi wejściowe, obok jego nogi dorodny rudy kot - Niech pani uważa, potrafi być agresywny - przywitał mnie... Kot poruszył groźnie wąsami...

Wojciech Młynarski, talent tekściarski równy Hemarowi, Przyborze, Osieckiej... mistrz cierpkiej satyry, celnych puent, niezrównany ironista, uroczy konferansjer, nieoczekiwanie liryczny poeta... Niedościgniony tłumacz Okudźawy i Wysockiego z jednej strony, z drugiej Brassensa, Piaf, Aznavoura, Brela... przebojów Bécaud, Montanda, Legranda, Garou... Gigant słowa.

Od młodości legenda, do śmierci genialny obserwator życia w Polsce, polskiej polityki, polskich przemian. Kronikarz swoich czasów, autor ironicznej historii Polski drugiej połowy XX i pierwszej dekady XXI wieku, dziejów PRL-u i III. RP spisanych w ponad dwóch tysiącach piosenek i wierszy, jedyny taki twórca na zawsze.

<https://www.youtube.com/watch?v=nb3ujlhVoL0>

A my, Polacy mieszkający w malutkiej Szwajcarii i czytający czasopisemko "Nasza Gazetka", mieliśmy go - dzięki

jego siostrze Barbarze najpierw w Domu Polskim a potem w Klubie Miłośników Żywego Słowa, który w 1986 roku założyła - dla siebie, na kilka metrów do sceny, na uścisk dłoni, na krzesło przy wspólnym stole...

Przez te wszystkie lata wystąpił przed nami kilkanaście razy. A potem dołączał do wspólnych biesiad, do kolędowania, nocnych Polaków rozmawiania... Wielokrotnie w spotkaniach tych brała udział także mama "Basi i Wojtka", pani Magdalena, raz wystąpił z młodziutką wtedy córką Pauliną... (córka Agata też pojawiła się w Klubie, ale nie z ojcem, a z Beatą Tyszkiewicz, jako moderatorka spotkania).

Przyjeżdżał też z wielkimi spektaklami, na dużą scenę, do Kurtheater w Baden. Z kabaretem "Dudek", z widowiskiem "Hemar"... Zawsze pełna sala i zawsze każdy zdziwiony, że tak nas tu dużo, w naszej drugiej ojczyźnie, szwajcarskiej... kto tylko mógł przyjeżdżał... I wyjeżdżał zachwycony językiem polskim na najwyższym poziomie...

Może i wiedzieliśmy, że miewa w życiu fazy bardzo dobre i fazy dużo gorsze, niezwykłą amplitudę, ale o jego chorobie, tak zresztą charakterystycznej dla geniuszy, chorobie afektywnej dwubiegunowej, nawet jeśli coś wiedzieliśmy, to przecież nie musieliśmy się z nią konfrontować, dla nas był nieskazitelny. Jakby nam wpadła do podołka prawdziwa gwiazda z nieba. Nasza osobista, prywatna.

Ale czyż to nie jest cechą największych autorów piosenek, że gdy się słyzy ich słowa, to jakby dla każdego ze słuchających z osobna pisane? W każde indywidualne życie wpisane? Wojciech Młynarski zostawił bardzo wielką rodzinę, a ta polsko-szwajcarska była mu taka bliska, taka oddana, "nasz" Wojtek był przez nas wszystkich zwyczajnie kochany!